

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



PRZENAJSWIĘTSZA RODZINA.

KOLENDA.

Pójdźmy wszyscy do tej ziemi
 Gdzie się orze skrzydły swemi,
 Gdzie na zeschniętym zagonie
 Trzeba pokaleczyć dłonie
 Nim się rzuci siew —
 Pójdźmy do tej ojcowizny
 Kędy tyle robocizny
 Gdzie są chwasty — tam wyplewić,
 Gdzie są wydmy — tam rozkrzewić
 Gąszcz nowych drzew.
 Pójdźmy razem do tej strzechy
 Kędy zpod słomianej wiechy
 Małe patrzą okieneczka
 I krasna miga chusteczka
 Na płocie u wrót,
 Pójdźmy między gospodarzy
 Radość wywołać na twarzy
 A w uśpionem wpół serduszk
 Co kołacze się w pastuszk
 Ocknąć gwiazdkę cnót.
 Pójdźmy także do tej szkoły
 Gdzie pacholąt tłum wesół,
 Lecz nie mają czego trzeba,
 Ani globu, ani chleba
 Zła droga, ciasnota i chłód —
 A jednak, dzieciak się biedzi
 Po śniegu, po gołoledzi —
 Bo czuje, że w jego główce
 Tysiąc marzeń jak w makówce
 Budzi światła cud.
 Pójdźmy z wesolą kolełą
 Gdzie wieczorem dziewczki przędą,
 Złączmy głos w te wspólne pienia,
 I zasnujmy swe życzenia
 W tę konopną nić —
 Pójdźmy, kiedy gwiazda płonie
 Wszystkich ludzi ścisnąć dłonie,
 Razem crać, praść i śpiewać
 Trudzić się, kochać, spodziewać
 I wierzyć i żyć!

Szczesna.

POGA WĘDKA.

Jak dziad-żebrak, mający jednak i lirę pod płachtą swoją, przechodzę wszystkie ulice miasta, do jednego i do drugiego zazieram domu, proszę o jakiś datek, który mi w formie wiadomości jest podawany, przypatruję mu się uważnie, ażeby rozpoznać wartość jego i stosowny użytek zrobić. Bo nie myślę, szanowne czytelniczki moje, że zawsze się spotyka ludzi dających pieczywo dobre. Różnie bywa, a moja to już jest rzeczą, wybór pomiędzy tem wszystkiem zrobić. — Społeczeństwu naszemu, któremu zarzucają wad sporo, przypisują także — plotkarstwo, a ma to być wcale nie nowa roślina, lecz bardzo dawna, bardzo stara, tak nawet, że tej wadzie narodowej przypisuje i nasz Szajnocha w jednym z dzieł swoich historycznych, przybycie do Krakowa strzeżonego przez panów Wilhelma. Miano go przyłapać w pół drugiego, cel zasadzki był ułożony w wielkiej tajemnicy, stosowna kompania oczekiwania miała niecierpliwego kochanka w lesie, przez który, według drogowskazu, musiałby przejeżdżać — ale Piotr Marcinowi, Marcin Kasprowi, Kasper Gaudentemu pod wielkim sekretem o tej wyprawie wspo-

mniał i tak sobie pobiegła wieść cichutko, aż do ucha Wilusia, który omylił czujność niemiłych dla siebie stróżów, zmylił drogę i dokonał dzieła zobaczenia się z ukochaną. Plotkarstwo zatem jest wadą narodową i — niestety! niewykorzenioną, aż dotąd. — Do dziś dnia jesteśmy pochopni każdą wieść w lot chwycić i bez zbadania jej źródła, albo wartości, puszczać dalej w obieg, a oczywiście, że nadajemy jej barwę według własnego usposobienia, różową, gdy lubimy się ludzi, szarą, gdy jesteśmy pesymistycznego nastroju — w samej rzeczy zaś ma ona kolor zielony albo fioletowy.

Wieleż to bajek już ocierało się o uszy nasze, świecąc wzróżystymi barwami mydlanej bańki, które obalamowały umysły, rozszerzały się szybko i — jak niewiadomem było zkąd przyszły, niewiadomem zostało gdzie się podziały nagle. Natura nasza jest dziwnie podatna do wierzenia — szczególnie w bańki mydlane — tymczasem one pryskają i pryskają szare mydło tylko zostawiając po sobie.

Nie wiem, czy doświadczenie czy wrodzone już usposobienie, lecz wszelkie domorośłe nowinki nie zbyt wielkiego mają we mnie zwolennika i nie mówię o nich nie nikomu, nie wierzę sam im, dopóki o ich rzetelnej nie przekonam się wartości. W ten sposób, nie doznając przedwczesnych radości, nie smucę się po rozprysnięciu tęcz, co mi pozwala wielkim spokojem patrzeć na życie i od wielu błędów w przedwczesnie dokonywanych czynach, ochronić się.

Ubiegły tydzień dał dużo przyjemnych rozrywek Warszawie, a parę widowisk teatralnych było powodem do rozmaitych dysput, krzyżowań się zdań i dość ciekawych wyników nawet, które jakkolwiek nie przeszły do łam dziennikarskich, lecz podsłuchane przez nas, będą stanowiły materiał pewien do pogawędki z wami.

W dniu 13 b. m. odbyło się zapowiadane porankowe przedstawienie w Teatrze Wielkim, na wspomnienie kassy artystów, na którym świetną grą swoją pan Bolesław Ładnowski zyskał zasłużony poklask występując w roli Stasia w akcie czwartym wyjętym z dramatu Karola Szajnochy; doskonałą grą pana Szymanowskiego i pani Dziyrt-Dobrowolskiej w „Pocałunku“ Banvilla zasłużoną także otrzymała od publiczności pochwałę. Zatrzymamy się jednak w tej chwili na dwuaktowej komedii Kazimierza Glińskiego p. t. „Dla czego?“ jako premierze, — a jakkolwiek będzie to rzecz *pro domo mea*, bo z autorem łączy mnie więcej niż przyjacielski stosunek, wspominam tu o tej sztuce dla tego, że niektóre wypowiedziane zdania o niej, kazały mi się zastanowić głębiej nad tem, czy mogą lub czy powinny być pewne, niewzruszone prawidła, których autor sceniczny, pod zarzutem niemal grzechu śmiertelnego przekroczyćby nie mógł.

Sprawozdania krytyczne, nad spodziewanie nawet autora, były bardzo pochlebne i zachęcające do dalszej pracy na tem polu. Świetna gra artystów przyczyniła się nie mało do powodzenia komedii, ale — były głosy, — które ze stanowiska scenicznego, zarzucały brak ruchu, to jest bieżaniny po deskach, oraz że dyalogi nie nadawały się do mimiki aktorów.

Trudno nie przyznać słuszności twierdzeniu, że ruch, mimika są potrzebną rzeczą na deskach teatralnych. Potrzeba jednak nie jest koniecznością — i sądzimy, że nie na tem tylko polega wartość scenicznego utworu. Pójdźmy nawet dalej i — sądzimy, że przytrzymywanie się raz ustalonej rutyny, lub reguł z góry nakreślonych, są stanowczo dla twórczości przeszkodą. Warunek, na przykład tragedii, ażeby bohater sam czynami swoimi wpływał na swoje losy, nie zdaje się nam być koniecznością; mogą potężne choć uboczne wpływy oddziaływać na niego i łączyć siłę bohatera. Tak bywa w życiu, i los bohatera tragedii nie będzie mniej tragiczny. Nie masz doskonałości na ziemi, do doskonałości nie mogą więc rościć praw żadnych i pewne z góry nakreślone prawidła, takie a takie reguły, po za które niktby się już wysunąć nie mógł. Jedność miejsca i czasu w tragedii, była niegdyś obowiązkiem, cóż z nią zrobił Szekspir — a stworzył arcydzieła; spokój Sofoklesowy przemienił się w ruch, gwar, życie — dzisiejsze więc i nasze pojęcie o warunkach sztuki scenicznej nie jest ostatnim jej wyrazem. Zasklepiać się w pewnych formułkach nie sposób — musi być tu dana wolność traktowania przedmiotu przez

autora, rozpychania zacieśnionych trochę ram, postępowania nie według tego, jak chce pewne prawidło, lecz jak chce tego twórcy, bo — bądź, co bądź — on jest twórcą prawideł. Rozumiem łokieć przykładany do sukna, z którego mamy frak zrobić, lecz tam, gdzie jest krawcem twórczy duch ludzki, miary stałej znaleźć nie można. Byłoby to zaprzeczeniem jego potęgi, jego pędu w bezmiar czy nieskończoność. Z tego też zapatrując się punktu i na dzieła Meterlineka, jakkolwiek zwolennikiem jego nie jestem, nie przykładam łokcia do jego pracy, przeciwnie, zajmują mnie dzieła jego, jako ten rozpęd sił twórczych, nie znający hamulca w napisanych przez bakałarzy prawidłach. Ma moc w sobie czy nie — pokaże to przyszłość; nie nie ostoi się przed siłą prawdy, przy której zawsze jest ostateczne zwycięstwo.

Wtorkowe, z d. 15-go b. m. przedstawienie „Intruz“ Meterlineka, wypadło nad spodziewanie moje dobrze. *Zdaje się* nam jednak, że dostrzegaliśmy w niem pewne skrócenia w dyalogach, co byłoby błędem reżysera, bo dając nam rzecz tak oryginalną w pomysłach, tak nową w założeniu, tak drugoczącą wszelkie reguły krępujące dotychczas scenę — chcieliśmy widzieć rzecz całą bez zmian, skrótów, taką, jaką ją mieć chciał autor. Nie mając jednak w tej chwili przed sobą dramatu Meterlineka zastrzegamy się przed niesłusznym może posądzeniem reżysera; mówimy — *zdaje nam się*, nie twierdzimy na pewno.

Bądź co bądź „Intruz“ robi pewne wrażenie, Na czem ono jednak głównie polega? — czy na walce wijącego się w pętach losu bohatera, na łamaniu się dasz z drugoczącą przemocą jakąś, na świadomości nieszczęścia, które zatrzymać się pragnie, a zatrzymać nie można?

Nie!
 Główną tu rolę grają — przecucie, niewyraźne wizje ślepego starca, brzęk kosy poza oknem, ostrzenie jej przez kosiarkę, którą jest śmierć, płoszenie się nagle łabędzi na jeziorze, tajemnicze przygasanie światła, czyjeś stąpanie po schodach, szmery wiatru podczas pogodnej, cichej, księżycowej nocy, niemożność zamknięcia zawsze zamykających się drzwi, któremi niewidzialna śmierć wciska się — te wszystkie słyszane i przeczuwane nadzwyczajności, nie znajdujące się w życiu rzeczywistym, oddziałują jednak na nerwy i fantazję. Głównem więc tu czynnikiem wrażenia nie jest walka ducha ludzkiego, tryumf lub upadek, — a przecie nas, mających duszę, dusza tylko obchodzi — lecz owa zewnętrzna jakaś, a tajemnicza groza, szczyki i brzęki, działające na zmysły, lub na umysły wierzące w zaboron. Rozum przywołany na sędziego, zbyt łatwiej z temi nerwowymi wrażeniami dałby sobie radę: alegoryczna kosa w ręku śmierci, nie rozczuliłaby go wcale, bajką byłoby dla niego drzwi niedające się przymknąć mimo wysiłku sześciu osób, na skrzypienie podłogi uwagi by nie zwrócił, a jużby, na niewrażliwych, wrażenia uczynić by nie mogły sugestywne wyrazy o szmerze, którego w rzeczywistości nie ma, o dźwięku kosy, która nie szczeka nigdy, choćby ludzie na gwałt umierali. Te środki więc użyte przez dramaturga robią wrażenie li tylko na nerwy, jakie uczyni i pocieranie garnka o garnek — lecz rzeczywistej nie wywołują grozy. Zabobon się przeżył, a jeżeli niezaprzeczymy tajemniczego jakiegoś, nie widzianego lecz odczuwanego przez nas wpływu zewnętrznego świata, który jest dowodem ścisłego związku nas z naturą — to on powinien się objawić, nie w skrzypieniu desek lub w drzwiach niemogących się zamknąć. Czy stosunek ze światem zagrobowym, na objawach tak błahych polega? W tem nie widzimy nowości — gawędziły nam o tem niańki i bajarki, trwożyły się tem dziecięce umysły, wierzą po dziś dzień słabe. Człowiek pozabawiony nerwów, mający rozum tylko, zrozumie szalą namietność Otella — lecz uśmiechnie się litośnie na przerażenie osób z powodu niezamykających się drzwi; człowiek *tylko* mający nerwy, odczuje rozpacz Maura, i wzdrygnie się na szczęk Meterlinkowskiej kosy. Można więc Meterlineka porównywać z Szekspirem, jak to czynią niektórzy? Czy większem jest dzieło przemawiające do rozumu i sercu, czy tylko do nerwów? — Odrzućmy w Meterlinku kosy, tupanie, niezamykające się drzwi, huk dzwonów, mławianie, że wiatr szumi — te wszystkie zewnętrzne pobudki do grozy — co zostaje dla myśli?

Nie—nie—nie...

Przedstawienie dramatu poprzedziła konferencja o Meterlincku przez Gawalewicza wygłoszona, który zajął się też i reżyserją utworu. Gawalewiczowi należy się niezaprzeczone uznanie za podjęte trudy i danie szerszej publiczności możliwości poznania dzieła belgijskiego poety. Nie stworzył on nowej szkoły, lecz przyczynił się do większego, niż dotąd, zaakcentowania wpływów nadprzyrodzonych, sił tajemniczych natury, na życie ludzkie. Uważnie tylko korzystać z nich potrzeba, ażeby zabobon nie wziął za prawdę, i nie dać zewnętrznym potęgom przewagi nad wolnym duchem i rozumną wolą człowieka.—Złamanie prawideł obowiązujących dziś scenę, do grzechów Meterlinckowi nie zaliczam.—I wy nie wiercie szanowni czytelnicy, ażeby twórczość pisarza, nie mogła czy nie powinna wydobyć się z zaklętego koła raz przepisanych jej form. Nie formie, lecz treści i rozumnemu opracowaniu przez autora danego przedmiotu hołd składać należy.

„Pomimo Domów zarobkowych, Sal noclegowych, a nadewszystko — Domu Starców przy Warszawskim Towarzystwie Dobroczynności, znajdują się jeszcze osoby niezdolne do pracy, które potrzebują jakiegoś specjalnego przytułku.

„Czy nie za wiele tych przytułków? czy instytucje podobne, zamiast ograniczać i tłumić żebranię, nie powiększają raczej cyfry osób wyciągających rękę? Czy w końcu, nie należało by postawić u nas zasady, że: „kto nie może pracować, nie powinien żyć“?

Temi słowami rozpoczął Prus „w Kurjerze Codziennym“ rzecz swoją „O Przytułku Św. Franciszka Salezego dla niezdolnych do pracy“—i taką dalej daje odpowiedź:

„Owszem — zasada kto nie może pracować nie powinien żyć“—obowiązuje i u nas.

A oto dowody:

Dnia 27 Listopada r. b. na ulicy Senatorskiej wprost domu nr. 22 znaleziono nieprzytomną kobietę i odwieziono ją do szpitala, gdzie lekarz stwierdził otrucie kwasem karbolowym. Desperatka zeznała, że nazywa się Teofila Walentynowska i że nie mogąc z powodu choroby pracować, wpadła w ostateczną nędzę, co skłoniło ją do odebrania sobie życia.

Widocznie osoba ta z jakiegokolwiek bądź powodów, nie mogła pomieścić się ani, w Domu zarobkowym, ani w Towarzystwie Dobroczynności.

A oto drugi fakt jeżeli być może, bardziej plastyczniejszy:

Dnia 11 Listopada r. b. na cmentarzu, na jednej z mogił znaleziono broczącą we krwi kobietę, z ranami na szyi i lewej ręce, zadaniem nożem, który leżał obok.

Odwieziona do szpitala zeznała, że nazywa się Apolonia Zukkertot, że ma lat 60 i że niemożność zarobienia doprowadziła ją do ostatecznej nędzy.

— Nie mam nikogo—objaśniła—jestem sama na świecie i, nie mając siły cierpieć dłużej, chciałam umrzeć.“

Te dwa samobójstwa w ciągu jednego miesiąca, są niezbitym, a strasznym dowodem, że znajdują się ludzie niemający środków do życia, stan zaś ich zdrowia czy wiek, usuwa przed nimi możliwość pracy. Zważywszy zaś, że samobójstwo nie z lekkim wykonywa się sercem—ileż jest tej wielkiej, a ukrytej nędzy, która wstydi się ręki po datkę wyciągnąć, a umrzeć nie mogąc, cierpi niesłychane koszty. „Dowiadujemy się dopiero w ów czas o niej, gdy na ulicach miasta, lub na grobach cmentarnych, znajdziemy jej ofiary.“

Wedle powyżej wspomnianego artykułu, kreślimy dzieje przytułku pod wezwaniem św. Franciszka Salezego, przytułku, mającego tej nędzy zapobiedz.

Około roku 1880 odkryła ten rodzaj nędzy w społeczeństwie warszawskim Siostra Anna Kobylińska, Szarytka. Jej to staraniem we wspomnianym już roku znalazło utrzymanie kilka istot opuszczonych; najpierwsi, zaś którzy przyszedli tym wydziedziczonym z pomocą były panie: Paulina Kowalewska i Julia Filipkowska.

Lecz nowo powstała instytucja wymagała wciąż nowych zasiłków; przybywali więc z pomocą pieńiężną ludzie zamożni, ofiary zaś w produktach dostarczali kupey i rzemieślnicy. Rzeźnicy, piekarze, restauratorzy, składnicy węgla kamiennych i nafty,

przez cały długi szereg lat składali i składają bezimiennie ofiary. Do takich dobrodziejów należał ś. p. Ryszard Ordyniec, który między najbliższymi znajomymi nawet nie uchodził za człowieka bawiacego się, w uczuciowość. Dziś przytułek świętego Franciszka Salezego rozciąga opiekę swoją nad 50—ma kobietami i mieści się w trzech lokalach przy ulicy Szczygłej pod nr. 3 i 9 oraz na Cichej pod nr. 5. Samo komorne wynosi około rs. 1,000.

Każda „Sala,“ składa się z kuchni i kilku pokoiów, w których mieści się kilkanaście łóżek. Nie ma tam nadmiaru miejsca, lecz jest ciepło i czysto. Pensyonarkami są kobiety wiekowe, wśród nich znajduje się jedna tylko młoda—niewidoma. Są to przeważnie były nauczycielki, wdowy po urzędnikach, rzemieślnikach i służące. Wyjątek tu stanowią dotknięte epilepsyą lub obłąkaniem, gdyż cel zakładu ma za zadanie przygarnąć osoby pozbawione możliwości pracy, nie chore. Dla tych jest i musi być szpital.

Pożywienie pensyonarek stanowi tak zwana wodzińska, zupa z odrzuconego w restauracji chleba zrobiona, — to ranny posiłek; na obiad dają zupę, jarzyny i mięso, oczywiście nie zbyt świetne, na wieczerzę — herbatę. Utrzymywanie 60 kobiet, okrom ofiar w naturze, kosztuje około 1,900 rs. rocznie. Sumę tę składa 17 osób litościwych, płacących od 50 do 300 rs.

Od roku przytułek ten przeszedł pod opiekę Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, Radę zaś Opiekuńczą składają następujące osoby: I. W. ks. biskup Ruszkiewicz i ks. Brzeziewicz—panowie: Kazimierz Sobański i Szymon Krzeczkowski—panie: Kazimierzowa Sobańska, Aleksandra Weyssenhoffowa i księżna Stefanowa Lubomirska.

Doświadczenie jednak lat długich pokazało, że najłabszą stroną Przytułku były lokale ciasne i rozrzucone, umyśliła więc siostra Anna zbudować dom specjalny dla Schroniska i gdy po wielu latach doszła do funduszu rs. 2,600 — przystąpiła do dzieła.

Z takim zasobem nie dokonywa się wiele—lecz czyn zaoczny, a śmiały znalazł od razu poparcie ludzi, który przed miłosierdziem nie zamykają wrót swych domów. Największa ofiara na ten cel wpłynęła od rodziny Blochów. P. Jan Bloch dał 2,000 rs. i 6,000 łokci placu przy ulicy Solec, nr. 36, pani Weyssenhoffowa 1,000 rubli gotówką i za 1,500 rubli klejnotów. Większe sumy złożyli: Ordynat Maurycy Zamoyski 5,000 rs.—Leopold Kronenberg 1,500 rs. i po 1,000 rs. następujące osoby: panie — Kasińska Ludwikowa, Marya Zawiszyna—panowie: Rau, Krzeczkowski, Wawelberg i Goldszand. Razem 79 osób dobroczynnych złożyły rs. 29,000.

Znaczny to już był fundusz. lecz i z takim zasilem przystąpić do budowy gmachu byłoby trudno, gdyby nie inne ofiary, które wpłynęły bądź w materyałach surowych, bądź w postaci pracy.

Plany zrobił budowniczy Marconi, dozorował nad robotami p. Adamczewski, p. Bevense wykonywał roboty stolarskie i ciesielskie po zniżonych cenach, p. Szyborski, majster mularski, muruje, p. Pyłasiński blacharz, wcale nie bogaty, ofiarował się z bezpłatną robotą tak, że tylko instytucja za materyał zapłaci. Oprócz tych panów pp. Małachowski i Grodzicki ofiarowali dachówkę, dyrektor zakładu gazowego p. Otton Alberti bezpłatnie zaprowadza urządzenia gazowe, pp. Bronikowski zaś i Sommer—wodociągi po bardzo zniżonych cenach; p. Kanigowski dał dwa wagony wapna, firmy zaś Grodziec i Eiger po 25 beczek cementu. Do wykończenia całego gmachu, które ma nastąpić w dniu 1 Lipca roku przyszłego, brak jeszcze... 15,000 rubli—lecz skarbonka do składania ofiar stoi otworem, a sermiłosiernych nie zbraknie.—Nowowznoszony budynek ma pomieścić 80 kobiet, 20 starców i 40 łóżek dla dzieci; ma mieć łazienkę dla pensyonarzy i inne temu podobne urządzenia.—Gmach Przytułku będzie prawdziwie dziełem miłosierdzia i dobrem świadectwem o chrześcijańskiej etyce naszego społeczeństwa. Nie zamykajcie, wy, którzy możecie, dłoń waszej przed ofiarnością na cele zacne.

Wigilia!

Ach! wiele ona wspomnień budzi, jak unosi ducha na falach marzeń w dalekie, w dalekie światy, bo ogromnemi, wspaniałemi światami są światy wspomnień.

Chrystus Pan się narodził!—anielskim chlebem łamię się z wami i szlę życzenie spełnienia wszystkich pragnień.

??

GWIAZDA.

(FANTAZJA).

Wśród śnieżnej zamieci widzę cię znowu pełną miłości, wiary i nadziei! Jaśniejiesz dotąd wciąż taka sama złota na pochmurnem tle nieba, jak ongi przed wiekami, gdyś błysła nad kolebką myśli człowieka, a wpatrzony w ciebie z zachwytem mędrzec chaldejski, badając twe drogi, po których z nieskończoności w nieskończoność pędzisz, poraz pierwszy zapytał, czem jesteś: czy pustym, umarłym globem, co wciąż się błąka w olbrzymiej przestrzeni, czy jasną krainą świetlaną, do której duch jego tęskni? I wówczas mędrzec chaldejski tajemniczą szczęścia nazwał cię gwiazdą, a oczy ludzkie zwróciły się ku tobie: Egipt stary w marzeniach swoich prześnił wieki wpatrzony w ciebie, rzuconą nad szczyty piramid; grek widział, cię świecącą we mgle Olimpu nad bogów głowami, przy Salaminie widział cię drżącą w nurtach Egejskiego morza i później po latach wielu widział cię znowu, gdyś taka sama drżąca zabłysła nad polem Cheronei. Potem z takim samym spokojem, z jakim patrzyłaś na śmierć Hellady, spoglądałaś przez lata całe na gwałty i zbrodnie Romy potwornej; rozgorzałaś nad czołem Cezara, nad czołem Augusta, a jednocześnie i nad Betleemską Chrystusa kolebką w chwili, gdy myśl starego świata strupała, a w piersi jego zaczęły się wysychać uczucia. I stałaś się teraz gwiazdą przewodnią dla mędrców, idących kornie uchylić czoła przed nową myślą i uczuciem potęgą. I znowu młody świat odrodzony przez usta swych mistrzów tajemniczą szczęścia nazwał cię gwiazdą, bo w piersi jego po twych promieniach spłynęła cicho nadzieja, gdzieś tam w błękitnych wyżynach zrodzona, bo świecąc w dali, stałaś się morską latarnią, do której wciąż poczęły się zwracać oczy żeglarzy, walczących o życie z rozrzuconą falą wśród piorunowej nocy, oświetlanej straszliwym blaskiem błyskawicy. Odbita w piersi człowieka, jak w kryształowej wód głębi, świecisz nieustannie nad globem posępnym ziemi i nad duchem człowieka. Wciąż widzę ciebie nad bładem czołem poety, co w myśli swojej i w piersi raj i piekło stwarza, nad głową bohatera, druzgocącego z siłą huraganową pracę stuleci i pędzącego przez życie wśród ryku piorunów i szumu skrzydeł orłów, wiodących do zwycięstw i sławy; widzę cię we wzroku mędrca, skalpelującego świat na atomy lub mierzącego drogi twoje, widzę cię w piersi kobiety—anioła, co cicho, bez skargi przechodzi przez wielkie życia boleści, co wielką miłością świętą cierpienie w rozkosz zmienić potrafi; widzę cię nad kolebką dziecięcia i nad trumną starca; widzę w łonie narodów, widzę nad stosem ofiarnym, jak bladym palisz się blaskiem hen, gdzieś daleko w błękitach. A gdy czarne chmur kłęby zawisną nad ziemią, gdy zamieć śnieżna białym okryje pola całunem, gdy wichor chłodny z jękiem przeciągłym przeleci ponad grobami i zmrozi skargi na ustach aniołów grobowych: wówczas człowiek do ciebie drżące wyciąga ramiona, szuka cię w górze, szuka w duchu własnym i wierzy w ciebie, wierzy tą wiarą silną, młodzieńczą, co umie gromy spętać i wpośród nocy posępnych rozpalici słońca promienne. A ty, nieśmiertelna, wciąż bladym drząc blaskiem, na swych promieniach zsyłasz nadzieję, podtrzymujesz wiarę i miłość rozniecasz i patrzysz spokojnie przez całe stulecia na rozkosz i mękę, na enotę i zbrodnię, na życie i śmierć. I człowiek strasznym bólem łamany, wśród nieustannych mąk życia wiecznie się zwraca do ciebie i wciąż, jak ongi mędrce chaldejscy, tajemniczą szczęścia zwie ciebie gwiazdą, a głos jego ginie wśród wycia wichrów mroźnych, szyszających z niego i z ciebie..

J. Nitowski.

Betlehemska noc.

(Z CYKLU POEZJI PROZĄ „BAŚNIE BETLEHEMSKIE“).

Wieczór się nachylał ku ziemi, gdy wreszcie zmęczeni oboje znaleźli biedną, niezajętą jeszcze stajenkę, w której mogli głowy skłonić, odpocząć po długiej drodze, utulić myśl po niesłychanym gwarze i wirze jaki panował w miasteczku przy tak licznych napływie ludności. Stajenkę Józef uprzątnął, siano naniósł, na półce położył chleb i dzban wody postawił, a usiadłszy na kamieniu, znużone ręce oparł na kolanach, troskliwie patrząc ku niewieście składającej podróżne ich szaty.

— Zmęczonaś?... — spytał z odcieniem troskliwej czułości.

— Nie... — odrzekła Marya—dobrze mi tutaj.. tak cicho...

— Legnij na rzeczach, spocznij...

— Kiedy mnie sen jakoś nie bierze... modlić się będę — dobranoc... I uklękła rozmarzona, głowę zwracając ku małemu okienku skąd widać było nieba kawałek. Józef głowę pochylił na dłoń:

— I mnie myśli budzą... coś czuwa we mnie... dobranoc... Cisza nastała. Noc tymczasem, ciepła, pogodna, przesycona woniami roślin wilgotnych od rosy, przetkana iskrami gwiazd mnóstwa, które wyległy na niebiosy, jakby to nie tylko ludności, ale spis światła czynić miano w Betlehem, ta noc „dobra“, nadzwyczajna, ogarniała świat i niosła mu w błękitnym kielichu wyjątkowe przeczucia niepokojące jakąś błogą nadzieją przyrodę i ludzi. Powietrze czyniło się coraz przezrocystsze pomimo mroków, pyły dnia ku ziemi przypadły, a dalekie perspektywy nieba wygładzały się uroczystym szlakiem dla pochodu nadzwyczajnych wydarzeń... Lekki wiatr zwinął chmury na krawędziach horyzontu i legł w wąwozie uciśniony; księżyc rozpalil się ogromny i promieniami wysrebrzał łąki, gaje, domy miasteczka i belki stajenki, a najpiękniejsza z gwiazd zatrzymała swój bieg i stanęła nad grota pastuszą, przykuta na miejscu niewypowiedzianem kosmicznym przeczuciem... Przyroda cała drżała od tajemniczych wzruszeń, wstrząsana zbliżającymi się krokami niebywałego cudu... który nie zdarzył się nigdy jeszcze, omijał wszelkie systemy i prawa, bezpośrednim aktem boskiej siły, doraźnym jak grom, olśniewającym jak błysk, a radosnym jak szczęście...

Ludzie budzeni ruchem niezwykłym przyrody, podnosili senne głowy, przecierali oczy, otwierali okna i patrzyli na niebo, płonące tu i tam, jakby rozsypańmi róż pękami... po łąkach pasterze klekali składając ręce, a bydło ryczało zadowolone, owce stawały na równe nogi, ptaki budziły się po gniazdach i zaczynały nucić, myśląc że to świt... chrabąszcze ocknęły się z uspienia, motyle trzepnęły skrzydłami rozwijając tęczowe skrzydła w księżycowym świetle, myśląc że to maj... Ciepło przedziwne, światło niezwykle, budziły krew w żyłach, podnosiły powieki stworzeń, osiadały rosą i blaskiem na skałach i drzewach, wstrząsały gwiazdą w niebiosach i duszą w człowieku... Na dalekich drogach spieszyli królowie z darami wzruszeni i pokorni, mag się zerwał z zadumy i dążył ujrzeć niezrozumiałą dla mądrości swej, a widzialną prawdę, zżyła się złością i nienawiścią, czując zstępującą wszechwładną miłość, odetchnęli grzesznicy i znekani doznając ulgi w tajemnej nadziei miłosierdzia... Cud dopełniał się we wszechświecie, od zenitu do otehlania, czuła go materyja i duch. Bóg stawał się—człowiekiem, wieczność ograniczała się czasem, wszechmoc przemieniała się w niemowlęstwo, boskość oblekała się w nędzną koszulinę ludzkiego ciała... Tego jeszcze nigdy, nigdy, jak świat światem nie było, więc drżała przestrzeń, niepokoiła się przyroda i budził się człowiek, a wszystko leciało na miejsce tego cudu, gwiazdy, ludzie, zwierzęta, żywioły i duchy...

A w stajence było widno jak w dzień, chociaż żadne światło się nie paliło, widno od tej główki malenkiej, ślicznej, uśmiechniętej spoczywającej na sianie w biednym żłobku...

Boskie Dziecię wyciągało dłonie witając ludzkość dla której rzuciło niebiosy, na ustach miało jeszcze niezmaczone wesele nieba, na delikatnym czole krzyżowało się parę linijek smutku, z piersi szło kwilnie śmiertelnego człowieka... Józef pochylił głowę nad żłobkiem, poważny i tklivy, głowę o królewskich rysach dawidowego rodu, górującą wspaniale nad skromną cieśli postacią; pojmował cud z godnością patryarchy, ze spokojem przetrwionych w duchu zapowiedzi proroków, w miłczeniu i prostocie biorąc się do piastowania tego, który miał być wielkim w narodzie. W stajence było chłodno, więc uchylił drzwi, aby wół i osiołek swem tchnieniem ogrzać mogli ziębnące nóżki Dziecięcia, a przypuszczone przez niego zwierzęta kleknęły kornie i swem ciepłem ogrzewały Stwórcę; potem Józef słysząc szelest i łopotanie w górze, uśmiechnął się łagodnie, odsunął dachówkę i wpuścił gwarliwą czeredę aniołków pchających się jeden przez drugiego ze śpiewem, śmiechem, pieszczotą, z całą radosną glorią powitania. Złotoskrzydła gromada rzuciła się ku Dzieciatku i muskała Mu czoło, piersi, ręce tęczowymi piórkami, krzycząc jakby to były przestrzenie niebios, a nie ziemia. Więc Józef bojąc się by dziecka nie zmęczyli odgar-
nał ten rój skrzydlaty i rzekł dobroduszenie:

— Ależ nie pechajcie się tak wszystkie razem— tam ku stropowi się usuńcie, trochę wyżej, in excelsis — śpiewajcie, — a nie krzyczcie tak głośno...

Aniołkowie zbili się w złotą kupkę pod powalą i ztamtąd, hamując wrzawę, nucili ostrożnie swą wesołą kołysankę...

A gdy tak Józef pośredniczył między Boskiem niemowlęciem, a światem zwierząt i duchów, przy żłobku jako uosobienie ludzkości klekała Marya, wpatrując się w olśnieniu radości w to Dziecię, w tego Syna,—który ją, pokorną służebnicę, przeobraził w Boską matkę Boga... Olśnienie to trzymało ją długą chwilę, jakby zaczarowaną na miejscu nieruchomą, oddającą cześć zjawisku niesłychanemu, i teraz jeszcze patrząc na tego wcielonego Stwórcę oddawała mu cześć, hołd i swą dziewiczą duszą jak dotąd przez życie całe, jak w świątyni dawniej, jak w domu cieśli, jak w drodze—jak zawsze... Lecz Malenki wyciągnął do niej ramiona i zapłakał... Ach! zerwało się w jej sercu uczucie matki, czułość, obawa, opiekuńcza miłość, radosne poczucie takiej własności nad skarby wszelkie— więc szybko powstała, Dziecię ze żłobka uniosła i tuląc do serca koła jego płacz, póki się nie uciszyło i nie rozbłysło uśmiechami. Wtedy zapomniała w bezdennie słodkim uniesieniu pociechy o boskości swego Syna i swojej, o hołdzie żywiołów i duchów, o aniołków chmarze, o wielkich wróżbnych słowach zwiastowania, to było nadewszystko jej dziecie, małe, biedne, zziębnięte i głodne, bezbronne i jedyne, więc trzymała je mocno, i była tylko matką, i byłaby chętnie widziała się zwykłą matką ludzką, spokojną o przyszłość syna, ufna tylko w opiekę Boską, a nie lękającą się szeregu prorocत्वów wiekowych i byłaby wolała sama tylko nucić mu kołysankę prostą i ludzką i żeby lepiej te aniołki jej nie wtórowały... Współludział przyrody i duchów, nadzwyczajne wstrząśnienie świata, hołd religijny pukający do stajenki przerażał ją i niepokoił, bo widziała za nimi inne ogniwa przepowiadane losu... Na razie jednak Malenki był jak inne dzieci, kwilił, jadł i oczy do snu przyrykał. Więc go uwinęła starannie w pieluszki i złożyła w żłobku, sama głowę o krawędź oparła i oddała się, słuchając równego oddechu śpiącego niemowlęcia, cudownemu szczęściu jakie ją przepełniało. Kochała tego Malenkiego z całych sił, ze wszystkich mocy, była to największa miłość jej przeczystego ducha, potężna i słodka, namiętna a niepokalana, mądra i tkliva zarazem. Marzyła o tem gdy on chodzić będzie i czepiać się warsztatu Józefa, bawić się wonnemi wiórkami oliwki i cedru, biegać po okolicznych łąkach Nazarethu i uczyć się psalmów Dawida... a potem... Coś ją tknęło, podniosła głowę, Dziecię nie spało, siedziało w żłobku poważne, słodkie i blade, jakieś za mądre i za cierpliwe, z wyciągniętą rączką ku drzwiom stajenki... Spojrzała w tym kierunku Marya i drgnęła przerażona... na czarnym tle tych drzwi popękanych, dwie jasne linie się przecinały na krzyż i tworzyły ów znak bolesny łamiący jej drogę marzenia. Przyluliła Dziecię do

piersi, przesłaniając mu oczy, lecz ono patrzyło tam wciąż i uśmiechało się smętnymi ustami... Więc zerwała się i ciemną oponę Józefa na drzwiach powiesiła, krzyżowa linia znikła i Dziecię się znów spać ułożyło... Przeczucia jednak w sercu Maryi usnąć nie chciały. Przywoływała snute przed chwilą obrazy, nadzieje, pragnienia,—myśl jednak leciała dalej, stawiała jej przed oczy dojrzałego już człowieka, którego losem było—stać się wielkim w narodzie, przed którym Jan prostował drogę dusz ludzkich, przed którym miał ugiąć kolano duch złości i brzemień grzechu opasć miało z ludzkiego plemienia... Miłość świat miała odrodzić, ojcowie w otehlaniach jęczący mieli się dostać do przybytku wiecznej światłości, ciemność zbrodni miała znaleźć swój koniec i tysiące, tysiące dusz ludzkich obmyć się ze skazy pierworodnej i zyskać tarczę przeciw własnym popędom ku złemu... I widziała jak uciśnieni łyż ocierali, jak biedni doznawali ratunku, smutni pociechy, jak w bratnich uczuciach topniała zawiść ludów, uspokajał się świat, i na podobieństwo Boskie szlachetniał.

Więc miłość Boga uniosła jej serce ogromną wdzięcznością miłość bliźniego radować się w niej zaczęła i serce matki utonęło w hymnie boskiego uwielbienia... Ale Malenki zakwilił żałośnie... Zerwała się Marya i niewiedziała co mu jest, leżał wyciągnięty z brudną cierpienia na czole... Aniołki zkuwały kwiaty nad nim i listki róż opadały na siano... a dziecie płakało... I zobaczyła w końcu, że na każdej malutkiej dłoni czerwieniało znamie listka róży, na każdej nóżce i na sercu... Odgarnęła te plamki, strząsnęła listki i znów hymny pierzchły z jej duszy, a niepokój matki ogarnął ją całą... Dziecię usnęło dalej, a w jej sercu—toczył się rozbrat uczuć matki Boga i matki człowieka... i raz dusza jej nad osobistą miłość dla dziecka wznesiona, czyniła akt uwielbienia przed tronem Jehowy, to znów na torturze niepokojów macierzyńskich wolała była wyrzec się dla Syna tryumfu zbawcy ludzkości i widzieć go tylko człowiekiem. Miłość i przeczucie, wiara i pokora, radość i trwoga, wytwarzały w tej duszy pierworodnie czystej cały nowy świat cierpienia, na dnie którego wykwiatał nowy świat odrodzonego życia na ziemi... Czuła, że w tej twórczej boleści swego serca ona sama staje się matką tego nowego świata tego nowego życia, i zaczęło jej serce wszechmiłujące tę istotę nową kochać, troskać się o nią i marzyć. Dziwiła się Marya co się z nią dzieje, czuła się coraz bardziej podwójnie matką, rodzicielką tego innego świata, który zaważył w jej sercu jak skarb rodzinny, jak rodzinna własność, jakby jej drugie—jedyne dziecko—drugi nieśmiertelny syn, tylko temu było na imię Bóg, temu, który snił w żłobku, a tamtemu na imię ludzkość,—tamtemu zbiorowemu dziecku, które kwili po drogach żywota, nędzne i grzeszne, głodne i kuszone, smutne i czekające, ugrzęzłe w złościach, a tęskniące do zbawienia,—zblakane, a szukające drogi do tej oto stajenki... Czuła bliskimi siebie tych dwoje, to Malenkie, śpiące w żłobku, i tamto—zestarzałe wiekami z młodem przeczuciem w olbrzymiej piersi, to—czyste i ciche, tamto, splamione i niespokojne, pukające niecierpliwie do drzwi stajenki utęsknioną rękę ludzkiego brata, spragnione upaść przy żłobku boskiego Mesjasza, który miał rozgrzeszyć i ulżyć... Ratawać trzeba było tamto wielkie dziecie zblakane, a jego wiekowych nędz człowiek by nie wyleczył żadną proroczą ani królewską mocą, niebieskiej trzeba było siły, cudotwórczej potęgi. Więc podniosła z radością swe oczy Marya ku chórowi aniołków, który wyspiewywał „in excelsis“ i zerwawszy się szybko otworzyła na rozszerz drzwi stajenki, aby wpuścić dobijające się swe drugie dziecko, ludzkość... Raz otwarte te wrota już się zamknąć nie chciały, cisnęli się prostacy i mędry, królowie i pasterze, baranki, aniołki i gwiazdy, a Boski Malenki rozstworzył ramiona, wzrok Mu promieniał radością, skronie rozgorzały jutrzeńkową zorzą, i witał kolejno stworzonych przez siebie braci, Bóg—bliźnich swoich!

Nadzwyczajna noc płonęła na niebie, ogarniała przyrodę, przeistaczała dzieje ludzkie, odgraniczała pogańskie: wczoraj—od boskiego jutra, a w biednej stajence umęczone wzruszeniami i hołdami Dziecię usypiało w objęciach Maryi, Józef wypraszał dla bóstwa chwilę odpoczynku, uciszał gwar ludzi,

wrzawę królów, bek owieczek, fujarki pastuchów i śmiechy aniołków, siadł na progu, i mileżeniem modlił się do Boga i patrzył, jak gwiazdy spieszyły się na błękitach w tę cudowną betlehenską noc...

Szczęśna.

LUBRANCE

POWIEŚĆ

przez

Z N I C Z A.

(Dalszy ciąg).

W Lubrancach dni płynęły spokojnie i monotonnie, podobne do siebie w swej nudnej jednostajności, długie jakby bez końca, nikt obcy swem przybyciem nie zakłócił miodowych tygodni Lubranieckiego, nie spieszo się z oddawaniem wizyt.

Jadwinia tylko odwiedzała czasem księżną X. znaną jej z poprzedniego pobytu w Lubrancach, była to jedyna z kobiet, w którą bliższe stosunki utrzymywać pragnęła.

Księżna X. poznawszy Jadwinę uczyła dla niej wiele sympatii i życzliwości. Nie potępiła jej bezwzględnie jak wiele innych, ale pilnie jej się przysłuchiwała i coraz głębszego nabierała przekonania, że wiele mylnych kroków Jadwini nie pochodzi z przewrotności i braku serca ale z braku kierunku w myślach i uczuciach. Zbliżyła się do niej z przyjaźnią i serdecznością by wzbudzić zaufanie i otwartość, nieskrępowaną żadnym ubocznym względem; wiedziała, że w życiu kobiety przyjaźń prawdziwa i bezinteresowna może oddać nieobliczone usługi, powstrzymać od fałszywego postępowania, naprowadzić na drogę prawdy, a samem wysłuchaniem zwierzenia przynieść nieraz ulgę w przykrości i zwątpieniu. Jadwinia czuła w niej przyjaciółkę inteligentną i sprawiedliwą, to też przylgnęła do niej prędko i serdecznie, mówiła nieraz otwarcie o wszystkim, co jej dotyczyło, i stosunki tych pań tak się zacieśniły, że co kilka dni odwiedzały się wzajemnie.

Jednego dnia księżna jak zwykle po południu przyjechała, Jadwinę samą zastała, gdyż Lubraniecki wyjechał w jakimś interesie do folwarku dalej położonego. Jadwinia była w dobrym humorze, rada, że będzie mogła spędzić parę godzin z księżną na poufnej pogawędce, bez denerwującej obecności Lubranieckiego, który jej zwykle nie odstępował ani na krok.

— Może przerywam jakie przyjemne zajęcie — spytała księżna, gdy weszła do pokoju i zastała Jadwinę zajętą czytaniem.

— Twoja obecność miłsza nad wszystko, a książka nie ucieknie.

— Co czytasz? — po przywitaniu spytała księżna. — Bez dogmatu Sienkiewicza. Podobno to jest prześlicznie napisane. Nie znam tak dobrze języka, żebym mogła odczuć w całej pełni piękno formy, ale mnie przedewszystkiem zajmuje postać Anielki. Jeżeli istnieją podobne kobiety, to są chyba jakieś święte lub błogosławione. Panować nad uczuciem tak jak ona, nigdy mu nie dać wzięść nad góry, na to trzeba chyba jakieś nieludzkiej mocy charakteru. — I Jadwinia zamyśliła się, jakby jakieś swoje uczucia mierzyła miarą Anielki.

— Anielka miała dogmat wiary w Opatrzność i poczucie obowiązku — rzekła księżna.

— Wiara... obowiązki... to się według woli nabywa i pozbywa... a uczucia same, nie wiedzieć skąd przychodzą, w jakiś sposób niewytłumaczony i dziwny i rządzą nami, a im więcej waleczyć z nimi, tem więcej wpijają się w myśli. Ciężka, bardzo ciężka taka walka.

Choć imię Henryka nigdy między nimi dotąd nie było wymówione, ale księżna przeczuwała, że

w myślach Jadwini jest jakaś burza, wskutek nieodwołalnej w uczuciach pomyłki, i wskutek zawodu, jakim było jej małżeństwo. Zatrwożyły ją jej słowa, gdyż wiedziała, że burze pędzą nieraz na manowce i nieszczęście.

— Ale gdy się zwycięży — rzekła — jakże miły jest później spokój tak ciężko zdobyty!

— Tak, ale gdzie nagroda za tyle walk i wysiłków?

— Jak się ma wiarę i nie zakłada się całego szczęścia na życiu doczesnem... z resztą wewnętrzne zadowolenie to także nagroda bardzo wielka!

— Zdawkowa moneta — rzekła Jadwinia lekceważąco wzruszając ramionami.

Rozmowa została na chwilę przerwana gdyż Jadwinie odwołano do dziecinnego pokoju. Dzieci wychodziły na spacer, panna służąca chciała im włożyć ciepłe paltociki, gdyż dzień był chłodny, ale dzieci upierały się przy letnich. Jadwinia musiała spór załagodzić.

Gdy do salonu wróciła na twarzy jej odbijał się wyraz niezadowolenia.

— Nudzi mnie już ta rola matki — rzekła ze zniechęceniem siadając obok księżnej. — Lubiałam przedtem zajmować się temi dziećmi, kiedy to uważałam jako zabawę i czasu zabicie, ale jako obowiązek gniewa mnie i nudzi i zupełnie inne robi wrażenie. Przestałam już nawet lubić te dzieci. Na przyszły rok oddam je do zakładów naukowych.

— Pomyśl, jakby się czuły opuszczone i nieszczęśliwe gdyby zauważyły twoją niechęć. Dzieci zdają sobie sprawę z wielu rzeczy i wiele też instyktownie przeczuwają.

— Zawsze będę dla nich dobrą. Niemniej ten obowiązek pozostanie dla mnie ciężkim.

— Jesteś zepsute dziecko i nie więcej — przerwała wesoło księżna. Nie chciała by Jadwinia zagłębiała się w pesymizm i nadawała coraz czarniejszą barwę swoim myślom. — Tak, zepsuta, jeżeli cię podobne drobnostki mogą zniechęcać.

Ale Jadwinia powracała ciągle do swojego niezadowolenia i goryczy.

— Nie wiem, czy to wieś tak odurzająco na mnie działa, czy samotność i spokój, do których nie jestem przyzwyczajoną, ale czuję się jakąś obezwładnioną i apatyczną, nie mam ochoty do żadnego zajęcia ani myśli. Nudzi mnie ten tryb życia jaki prowadzimy, a nie chce mi się nie postanowić i uczynić by go urozmaicić i zmienić. Czy wiesz, co mnie jak wyrzut sumienia bezprzestannie dręczy i przesładuje? Ta myśl, że Henrykowi zrobiła tak wiele przykrości. Nie pojmuję, jak mogłam siebie mieć tylko na względzie i nie myśleć wcale o nim decydując się na zerwanie. Nie wiem dlaczego, ale go jakoś więcej teraz rozumiem, wchodzę w położenie i zdaję sobie sprawę z przykrości przez jakie musiał przechodzić. A wszystko przemniel! Z mojej winy!.. Ani na chwilę myśleć o tem nie przestaję. Wyrzucam sobie ciągle czemu przedtem o tem nie pomyślałam kiedy jeszcze zaradzić było można... Ach! Jakże mi go żal serdecznie!

Byłoby pierwsze w ich rozmowach, wspomnienie o Henryku. Jadwinia przez myśl i usta przepuścić jeszcze nie chciała, że uczucie, którego doznaje nie pochodzi wyłącznie z wyrzutów sumienia i żalu.

Na twarzy księżnej odbiło się zdziwienie i niepokój. Zamyśliła się, jakby jakieś swoje dawne spostrzeżenia kompletowała i wyjaśniała.

— Nie masz prawa wyrzekać na wyrzuty jakich doznajesz z tego powodu — rzekła po chwili biorąc ją łagodnie za rękę. — Nie masz prawa, bo ci się należy cierpieć trochę za to, że i drudzy cierpieli z twojego powodu. Na świecie we wszystkim jest równowaga. A jeżeli się życiu uważnie przypatrzysz, to się przekonamy, że każda troska moralna w nas samych ma po części przyczynę. Czyś nie uważała, że nieraz nietylko czyn nierozważny, ale i każdą przyjemność musimy odpokutować? Nie narzekaj, moje dziecko, nie ty pierwsza przechodzisz przez burze wewnętrzne, nie ty pierwsza żałujesz fałszywego kroku na drodze życia i odczuwasz jego przykre następstwa.

Cień przeszedł przez twarz księżnej, może jakie echo z lat minionych, może wspomnienie chwil szczęścia okupionych drogo, których los zadarmo nigdy nie używa, ale zapanowała nad wrażeniem i ciągnęła dalej głosem łagodnym i spokojnym:

— Ale Bóg jest sprawiedliwy, choć karze i zmusza do żalu za popełnione winy, ale umie i pocieszać wtedy, kiedy nam się zdaje, że znikąd pociechy być nie może. Miej tylko nadzieję, a Bóg ci zesle spokój i zapomnienie.

— Czyż zesle? Mnie się to wydaje takim nieprawdopodobieństwem. Nie wiem dlaczego, ale ja nie posiadam takiej ufności w Boga jaką ty masz. To musi być wielkie szczęście mieć ciągle to uczucie, że ktoś silny, potężny i dobry czuwa nad nami bezprzestannie, że jest w Nim ucieczka i wsparcie... że w Jego ręku pociecha... szczęście...

Jadwinia z zamyśleniem patrzyła wzrokiem zamglonym, a później ciągnęła dalej, jakby do siebie, jakby do swoich myśli i utrapień. — Ale na to trzeba bezgranicznej wiary i ufności... A dla mnie Bóg jest czemś dalekiem, martwym i nieokreślonym, czemś obojętnem co nie przemawia do żadnego mojego uczucia... Chciałabym jakiego nadzwyczajnego faktu, cudu lub objawienia, któreby świadczyło o Jego istnieniu, potędze i dobroci... że bym mogła ufać, wierzyć i kochać Go bezgranicznie.

— O! Bóg przemówi, objawi Ci się niespodzianie — przerwała księżna z zapalem. — Ale nie przez cud lub nadzwyczajność, nie przez coś takiego co by wykraczało poza zwykłe warunki życia, ale z prostotą i naturalnością, w okolicznościach czysto ludzkich, z których sobie dotąd nie zdajesz sprawy, w jednym uczuciu lub myśli, w nagłym pojęciu tego co ci teraz jeszcze niezrozumiałe i obojętne, co rozświeci wątpliwości, da uspokojenie i szczęście. Tak Bóg do ciebie przemówi, mam silną wiarę i nadzieję, byleś tylko jego mowę zrozumiała i poszła za Jego głosem.

— Ach! Niech przemówi! Jakżeby Mu ufała bezgranicznie! Przecież to byłoby zbyt okrutne i straszne, gdyby nie było takiej Istoty, w którejby słabi mieli ucieczkę i opiekę, któraby nas broniła od dręczących uczuć i wrażeń, myśli rozszalałych i nieporządných i warunków życiowych tak rzadko łatwych i przychylnych, a przedewszystkiem przed własnym „ja“, które nas gnębi i dręczy. Niech przemówi! Niech da choć trochę spokoju i zapomnienia, ufności i wiary, że On silniejszy od wszystkich i miłosierny!

Jadwinia była podniecona, oczy jej się iskrzyły, a na policzkach zaznaczyły się wypieki. Gdy poruszyła myśli i wątpliwości, uspokojenie i zwykła pozorna obojętność nie przychodziły tak prędko. Krew południowa po matce odziedziczona w coraz to szybszem tempie biła do pulsów i skroni, zapalała wyobraźnię, dźwiękiem słów myśli upajała, i zasnuwała je zbyt czarną mgłą pesymizmu i rozmarzenia.

Mówiła szybko, bezładnie i gorączkowo, potrzebowała przed kimś wypowiedzieć się koniecznie; walcę wewnętrznej, sprzecznym i niepokojącym uczuciom, przymusowi i panowaniu nad sobą wobec męża przeciwstawić chciała chociaż słowa szczere, a gorzkie, gdyż nie miała siły do innej obrony.

— Chaos mam ciągle w myślach. Już teraz nie wiem czego chcę lub nie chcę. Chciałam majątku i myślałam, że będę szczęśliwa... mam majątek, a nie mam szczęścia, bo go nigdzie niema... żyć niewarto. — Zamiast szczęścia mam niepokój i wyrzuty sumienia i jakieś uczucie dziwne i ubezwładniające, które mi odejmuje odwagę do życia.

Czyż istnieje gdziekolwiek jakiś cel życia tak wielki i drogi, dla któregoby trud istnienia ponosić się opłacało?

— Są uczucia... zaczęła księżna, ale Jadwinia żywo jej przerwała:

— Ha! ha! ha! Uczucia? To ironia życia! Przychodzą na udzielenie tylko, kiedy ich się nie pragnie i nie woła.

Księżna nie chciała przedłużać tej rozmowy, która Jadwinę rozgorączkowała i podniecała, a w skutkach mogła być nieszczęśliwa.

— Zajęcia ci przedewszystkiem potrzeba — rzekła — w beczynności przychodzą dziwaczne myśli.

— Ach! Czyż nie dosyć zajęcia dotrzymywać ciągle towarzystwa mojemu mężowi? — rzekła ironicznie. — Szukać szczęścia w zajęciu to oszukiwać siebie samego, pracą czas zabijać i skracać, z zamkniętymi oczami biedz przez życie, byle jaknajprędzej, bez wytehnienia i jednego spojrzenia na to co nas otacza, byle dojść do celu, końca... a cóż jest

tym końcem? Grób. Marny koniec. Nie, ja nie chcę życia zbywać czemkolwiek, bezmyślnie spychać dnie jedne za drugimi. Ja chcę żyć moją całą istotą, oddychać pełną piersią szczęściem i swobodą! Chciałabym, żeby mnie życie odurzało i dostarczało rozkosznych, a silnych wrażeń!

I Jadwinia rozogniała się coraz więcej, gwałtownym ruchem ręce spłótła i głowę na nich wsparła jakby od niechcenia, w rozmarzeniu, patrząc przez okno w dal nieograniczoną, wabiącą, a tajemniczą, na smugi światła różnemi barwy mieniające się na zachodzie jak ludzkie myśli i uczucia. Tam, za tym horyzontem są inne horyzonty, może tam jest szczęście i szal życia?

— Mam chwilę — ciągnęła dalej — kiedy mnie opanowywa jakaś dziwna gorączka ruchu, gwaru, zabawy i swobody, żebym biegła gdziekolwiek przed siebie, byle tylko choć raz w życiu zaznać w całej pełni szczęścia i wolności! Złe jest na świecie, a pomimo to świat jest taki piękny... tyle na nim pięknych rzeczy... które nasuwają myśli o jakimś szczęściu nieuchwytnym, a odurzającym, dającym rozkoszne zapomnienie świata zewnętrznego... Nie. Mówmy o czem innym lub chodźmy się przejść cokolwiek, wszystkie nerwy we mnie drgają.

Jadwinia po zimniejszym namyśle uznała słuszość uwagi księżnej, że konieczne byłoby dla niej systematyczne zajęcia i postanowiła grywać kilka godzin dziennie, żeby się wydoskonalić w muzyce.

Bardzo to ją zajęło. Przez pierwsze dni całemi godzinami od fortepianu nie wstawała, wyuczała się dokładnie rozmaitych kompozycji, a najwięcej grywała etud i ćwiczeń. Lubraniecki jak zwykle dostrzymywał jej towarzystwa, wybierał nuty, ćwiczenia na bok odsuwał, prosił o swoje ulubione kawałki, przerywając grę rozmową lub jakąś serdecznością.

Znudziło to w końcu Jadwinie, tembardziej, że granie ćwiczeń, których Lubraniecki nie lubił robiło jej najwięcej przyjemności. Przy tym miarowym ruchu, bez wyraźnej melodyi, rytmicznym i monotonnym, ukołysać można myśli i pójść za wyobraźnią w marzenie spokojne, a rozkoszne bez gwałtownych wstrząśnień i zamętu jak ich tło, muzyka ta jednostajna i nieuchwytna, spokojna i miarowa. A tymczasem Lubraniecki przerywał co chwila wątek jej myśli, nawet krainę marzeń zasłaniał swoją osobą. Przemyślała, czemu to i męża tak zajętą, żeby przestał podczas grania zwracać na nią uwagę. Przypomniła sobie wreszcie, że Lubraniecki wspominał jej kiedyś o swoim zamiarze pisania pamiętników. Z radością chwyciła się tej myśli.

— Wiesz co — rzekła jednego dnia, uzbrajając się w właściwą sobie przebiegłość, która jej już niejedną oddała przysługę. — Przypomniałam sobie, żeś miał zamiar pisać swój pamiętnik. Znajduję, że teraz byłby czas najodpowiedniejszy do tej pracy. Mógłbyś pisać przez ten czas kiedy grywasz, w takim razie nie zajmowałbyś się tem wtedy kiedy z tobą razem jestem; i nie byłabym pokrzywdzoną, nie traciłabym twego towarzystwa — dodała z uprzejmym uśmiechem.

Ale chęci Lubranieckiego ostygły widocznie, czy też nie spieszo im było przyjąć formę czynu, gdyż odrzekł dosyć niechętnie.

— Wszystko się zrobi w swoim czasie. Nie trzeba się z niczem spieszyć.

Jadwinia ciągnęła dalej.

— Twój pamiętnik byłby dziełem prawdziwego znaczenia i historycznej doniosłości. Jesteś osobistością znaczną miałeś zawsze stosunki ze sferami wysokimi, tematu ci nigdy nie zabraknie. Byłoby to z prawdziwą dla społeczeństwa szkodą gdybyś nie opisał tych faktów, które tylko ty jeden trafnie i prawdziwie opisać możesz.

Słowa Jadwini bardzo Lubranieckiemu pochwalały.

— Może i masz rację — rzekł po namyśle. — Obowiązki względem społeczeństwa są święte, nie należy się od nich wyłamywać — i zabrał się do pisania swoich pamiętników z głębokiem przeświadczeniem o doniosłości tego dzieła.

W salonie zwykle siadał do pisania, ażeby być przy Jadwini, która tymczasem wcale na niego nie uważając, oddawała się swojej muzyce i myślom.

Nie była zapaloną zwolenniczką fortepianu, ale granie robiło jej coraz większą przyjemność, dawało chwilowe zapomnienie otoczenia, harmonijnymi dźwiękami unosiło lekko i nieznacznie w krainę ma-

rzenia rzewnego, a łagodnego, gdyż ostre barwy burzy i uczuć gwałtownych, ścierały się wśród delikatnej fali spokojnej klasycznej muzyki, którą Jadwinia najlepiej lubiła, która nie budziła nawałnicy wyobraźni zwroty fantastycznymi, ale kołysała do marzenia oderwanego i spokojnego.

I z pomiędzy mgły dźwięków i nieuchwytnych myśli wysnuwał się pomału cudny obrazek na żal i tęsknotę z krainy szczęścia do wyobraźni zabłąkany. Rysował się najpierw niewyraźnie, nieśmiało, jakby zdaleka i niedostrzegalnie, ale powoli zdawał się zbliżać, przybierał coraz świetniejsze blaski i kolory. Widziała siebie z uśmiechem szczęścia i swobody, w otoczeniu jakimś pięknym, wśród kwiatów, drogich kamieni i ludzkich pochwał, z uczuciem jakimś gorącym, przepełniającem myśli i duszę. Naraz promienie słońca składały jakiś kontur, który przybierał ludzką postać, linie się wykończyły zaznaczając coraz wyraźniej, i przed oczami Jadwini stawała postać Henryka, i zdawało się jej, że to od niego promieniuje światło i szczęście, zadowolenie i uśmiechy!

„Przecież to jest syn mego męża!“ przez myśl jej nagle przebiegało, i czarna chmura przesłaniała cudny obrazek.

Wstawała wtedy od fortepianu by przerwać muzykę i myśli, przeglądała machinalnie arkusze pamiętników, które Lubraniecki wypełniał pochwałami swojej osoby.

* * *

Późną już dosyć jesienią Lubraniecki otrzymał list od Szańkiej, która ciągle od czasu ślubu ojca była ciągle razem z Henrykiem. Dawała wiele szczegółów o ich pobycie w Warszawie, o Henryku, jego zajęciach i o nagłym ich powrocie do Woszatyniec, którego sama mimowoli była powodem. Pisała bowiem iż od dawna zauważyła wzrastającą sympatję między swoim bratem a Marylką Hornowicz; przyglądała się ciekawie tej sytuacji, ciekawa, jak się rozwinie w dalszym ciągu. Gdy wreszcie powiedziała o wyraźnej wzajemności ze strony Marylki, można się zdziwił i zaalarmował, a pożegnawszy się dorywczo z temi paniami wyjechał niezwłocznie do Woszatyniec.

List ten wywarł dość silne wrażenie na Lubranieckim. Różne myśli przez głowę mu przebiegały: to posag Marylki nie legendowy ale prawdziwy, to znowu jego własne zdanie przeciwne małżeństwu w rodzinie, które w swoim czasie może zbyt głośno wypowiadał. Wszakże Marylka jest cioteczną siostrą Henryka, bliższą niż Jadwinia kuzynką; ażeby okazać się konsekwentnym i na śmieszność nie narazić, trzeba znowu opierać się i temu związkowi.

„Eh, ludzie pogadają i przestaną“ zakonkludował wreszcie w myśli, i pogodzony już zupełnie ze światem i sobą podał Jadwini list Szańkiej.

— I cóż ty na to? — spytał gdy czytać przestała.

— Żal mi Marylki.

— Nie sądzę, żeby była taka bardzo pożałowania godną. Wszystko da się ułożyć. Widocznie takie już jest przeznaczenie, żeby się Henryk w rodzinie ożenił, a przeciwko przeznaczeniu, my, ludzie słabi nie uczynić nie możemy. To nawet jest ciężkim grzechem nie poddawać się Boskim wyrokom.

Jadwinia nie nie mówiła, usta miała zaciśnięte, patrzyła na męża ze złośliwym wyrazem oczów.

— Muszę zaraz napisać do Henryka, ażeby nie był dziecinny, i żeby przyjechał tutaj dla porozumienia się co do przyszłości — rzekł Lubraniecki i wyszedł z pokoju.

Jadwinia była wzburzona, sprzeczne myśli nią wstrząsały. Byłaby gdzieś szła, jechała lub biegła, do Marylki lub Henryka, byle czynić cokolwiek, byle uciec od siebie i rozpaczliwych myśli, byle nie czuć ciężkich kajdan, które ją do miejsca przykuwały i utrudniały zapobieżenie temu małżeństwu, jej na urągawisko i nieszczęście!

I zrozuwała teraz jasno i nieodwołalnie, że wspomnieniem Henryka, wypełnione są wszystkie jej myśli, że obraz jego gości bezprzestannie w jej wyobraźni, że jej świat cały sobą zastania, sam będąc dla niej światem uroczym i wabiącym, do którego dusza się rwie pomimo wszystko! A ten świat

piękny to jego miłość!... daleka i niedościgniona kraina... tymczasem ktoś inny, obcy, wkracza tam bezwzględnie i skarby cudnego świata zabiera sobie na własność. Dla tamtej będzie szczęście i rozkosz życia... a dla niej?...

Żle uczucie zawiści i zażłości sęczyła gorycz do serca. I Henryk był teraz dla niej droższym nad wszystko, coraz droższym, kiedy widziała, że go już straciła ostatecznie, że już nie ma wspomnień o niej w jego sercu, bo je innej ofiarował.

Rozegzaltowywała się coraz więcej swoją miłością nieszczęśliwą potęgowaną ciągle przez samotność i przeciwność.

Była cały dzień niespokojna, miejsca sobie znaleźć nie umiała, wyglądała z niecierpliwością przyjazdu Henryka lub też jego listownej odpowiedzi.

„Pojadę do księżnej X.“ — rzekła do siebie gdy już ją zmęczyły własne myśli. Ale przypomniła sobie równocześnie, że księżna wyjechała do kogoś z rodziny i dopiero tego dnia wieczorem spodziewano się jej powrotu.

Niezadowolona wyrzekła się swego planu.

Na drugi dzień rano przyszedł list od Henryka. Lubraniecki czytał go uważnie, później głośnie.

Henryk pisał co następuje:

„Kochany Papo! Mam nadzieję, iż Papo mi wybaczy, że nie stawilem się na Jego wezwanie, ale biorąc to w rachubę, że może nie wszystkim moja obecność byłaby pożądaną, wolę poprzestać na listownem porozumieniu. Pozwoli Papo, iż będę zupełnie szczerym. Otóż przedewszystkiem dziwnem mi się wydaje ze strony Papy popieranie i takie naleganie o małżeństwo z Marylką, wiedząc z doświadczenia jak rok temu, Papo był przeciwny związkowi w rodzinie zawierany. Ale jest to moja duża uwaga. Zaś co do mojego stosunku do Marylki, powiem zupełnie otwarcie, że jest to istota, do której się z każdym dniem przywiązuję. Robię zaś wszystko co tylko jest w mojej mocy, ażeby się obronić temu uczuciu, małżeństwo bowiem z Marylką stawiałoby Papę i mnie w dość fałszywym położeniu wobec świata. Jeżeli zaś trzymanie się od niej zdala, będzie dla mnie zbyt wielką przykrością i ofiarą, nie widzę żadnej dobrej racji, dla której bym się wyrzekł szczęścia, które ostatecznie wyżej cenię aniżeli ludzkie gadaniny. Jak dotąd, nie powziąłem jeszcze żadnego postanowienia, może być, że sympatya Marylki jest tylko mojem złudzeniem lub jej kaprysem, w każdym razie; obiecałem napisać tym paniom, że za kilka tygodni, może powrócę do Warszawy.

Łączę etc.

Henryk Lubraniecki.“

Jadwinia list przeczytała i odeszła śpiesznie do swego pokoju. Chciała być samą ze swymi myślami.

Stała przy oknie, patrzyła w przestrzeń dość szerokim objętą horyzontem, a myśl kreśliła rysy Henryka. On tamtej nie kocha tak silnie jak ją kochał, a jednak z tamtą się ożeni i tamta da mu szczęście!...

Żal ścisnął sercem, które pomimo wszystko coraz większą miłością wzbierało dla Henryka, za to, że ją jedną kochał tak silnie i namiętnie, że się nawet nie bronił tej miłości jak wspomnieniom Marylki ale odrazu, choć trudności przewidywał, położył serce pod jej stopy. Gdybyż się można wrócić w przeszłość i naprawić błędy próżności i wyrachowania! I zatopiona w myślach odeszła od rzeczywistości, do jakichś marzeń pięknych a niedoścignionych o samych uczuciach i szczęściu. A ta fala złudzeń biegła do niej ze świata zewnętrznego, z podmuchem świeżego powietrza, z delikatną jasnością dnia pogodnego, jesienno, w którym natura może po raz ostatni roztacza swoje skarby i uroki, a resztkami życia i zapachów kwiatów wędrujących żegna cieplejsze promienie słońca. Drzewa i trawniki zasnuwane cienką przedzą babiego lata mieniły się pod słońcem wszystkimi barwami tęczy, stroiły się w szafiry, rubiny i dyamenty.

Jadwinia przyglądała się temu wdzięcznemu obrazkowi, pełnemu uśmiechów, zachęty do życia i wesela.

Przyszło jej na myśl, że przecież wszystko miała czasem uśmiechy szczęścia... a ona?... I zamiętały na jej rękach łyzy wątplenia. Czyżby tylko

takie dyamenty stroiły ją przez resztę życia? A życie takie piękne...

Nie, tak być nie może! I ona ma prawo do życia i szczęścia, już ma dosyć kary za wyrachowanie i egoizm.

Rozmarzały ją coraz więcej własne myśli, a przypuszczenie, że może jeszcze żyje w wspomnieniach Henryka budziło znowu szaloną żądzę życia i wrażeń. Już dosyć kary i utrapień. Zerwie z przeszłością i otoczeniem, opuści tego wstrętnego człowieka, który zakął w kajdany jej ręce, myśli i uczucia, opuści te smutne i płaskie przestrzenie, z którymi ją nie nie wiąże, i których nie rozumie, pójdzie w świat szeroki, po przyszłość nieznaną a tajemniczą, może niezwykłą a wabiącą. Już nie niema do stracenia. Od takiego życia smutnego i bezbarwnego nie straszno iść w świat może do zatracenia i nieszczęścia. Wszystko jedno, jakkolwiek żyć byle żyć, ruszać się działać i myśleć a nie zamierać powoli tu w Lubrańcach w bezmyślnej wegetacji i zwątpieniu i z tem nieszczęsnym uczuciem zapóźno jakby dla ironii rozbudzonem. Tłumnie cisnęły jej się do głowy różne wspomnienia z tych czasów kiedy z panią Zeneidą w świecie bywała. Przypominały jej się różne słówka przezroczyście o życiu pełnem uciech i wrażeń, rzucane niby od niechcenia a z intencją, w wirze tańca lub wśród gwaru obiadu proszonego, na koncercie lub w teatrze, z okoliczności przedstawienia w danej chwili, zawsze dyskretnie a denerwująco, szeptane zalotnie przez młodych ludzi, którzy lubią łatwe przyjemności i uzupełniają edukację młodych panienek w świecie debiutujących. Przecież gdy nikt nie słyszy wszystko mówić wolno, tembardziej kuzynkom dam światowych, sobą zajętych, biednym i bez rodziców; wszystko być kiedyś może... a niewiedomo co z nich zrobi życie i jak niemi los rzuci...

Przypominała sobie jak kiedyś we Florencji na jakiejś garden-party, odpoczywając po męczącym lawn-tennis'ie i spacerując po miarowych uliczkach włoskiego ogrodu, pewien młody malarz błagał ją usilnie, by w sekrecie przed wszystkimi i panią Zeneidą, pozwoliła mu się sportretować. Chciał ją później umieścić na obrazie większych rozmiarów jako boginię grecką. Malarz był bardzo piękny, Włoch, o rysach posagu a oczach z ognia i aksamitu, wabiła ją ryzykowność kroku i urok dorywczych wycieczek do pracowni artysty i... o mało, że nie uległa. A byłaby zebrała wrażeń pełne dłonie! Ale jeszcze nie nie stracone. Przychodziły jej na myśl czytane nieraz obojętnie ogłoszenia w różnych pismach o kobietach szukających pracy o magazynierkach, nauczycielkach i pannach do towarzystwa. Ona też pracować może.

Później w wyobraźni majaczyły zaczęły sylwetki powozów bijących w oczy, ze służbą w jaskrawych liberyach, z pieskiem ubranym w wstążki i koronki, leżącym u stóp swojej pani, uśmiechniętej, strojonej i szczęśliwej, jeżdżącej na pokaz po bulwarach, na której się modelują damy z towarzystwa, kamieniem na nią rzucając głośno a zazdroszcząc po cichu władzy, powodzenia i urody.

Przyszły jej na myśl spotykane nieraz na ulicy gromadki ożywione młodych kobiet wychodzące z Sorbonne'y lub Konserwatoryów muzycznych albo dramatycznych. Życie kobiety rozmaite formy przybrać może... jest gotową wszystkiego poprobować, byle wreszcie znaleźć jakiś cel i zapomnienie.

Z chwilą gdy postanowienie opuszczenia Lubrańców przyjęło ostateczną formę w jej myśli, spokój jakiś w nią wstąpił i nadzieja lepszych dni. Zdawało jej się, że po długim wahaniu i błędzeniu po ciemnościach, postanowienie to jest przystaniem szczęścia, którego złote promienie przedarły się do niej niespodzianie i wabią tajemną przyszłością, nieznanymi przygodami i wrazeniami.

Zacząła się machinalnie krzątać po pokoju, jakby popełniła bezwiednie do jakiegokolwiek zajęcia, biżuterię i trochę pieniędzy, które miała na drobne wydatki w drodze na podróżnego woreczka. Wybrała na drogę ciepłą rotundę, pod którą łatwo było można trzymać niepostrzeżenie woreczek z pieniędzmi i klejnotami.

Nie myślała już o niczem, nie zastanawiała się więcej, gorączkowo chodziła po pokoju i spoglądała co chwila na zegarek. Z czasem tak kombinowała, by trafić na pociąg, który w dalszym ciągu szedł ku Warszawie.

„Koniec już rozumowaniom, wszystko jedno do kąd dojdę, może do zatracenia i śmierci, ale mi trzeba koniecznie ruchu, gwaru i odurzenia.“

Przy śniadaniu przymuszała się do jedzenia i bawnej rozmowy, by się nie zdradzić ze swoim stanem podnieconym i gorączkowym.

— Pojadę dziś do księżnej X., — rzekła wstając od stołu, — wczoraj do domu powróciła, może przywiozła jakich nowych ze świata wiadomości.

Serce zabiło jej niespokojnie. A może Lubrański okaże chęć towarzyszenia jej w tej wycieczce?

— Zdenerwowany jestem listem Henryka, — rzekł po namyśle, — sama chyba pojedziesz, nie jestem dziś usposobiony do wizyty.

Chwała Bogu!

Za nadejściem godziny, kiedy zwykle na pociąg wyjeżdżano, Jadwinia kazała konie założyć i włożyła rotundę, ściskając mocno swój woreczek. Serce jej biło ale nie miała już chwili trwogi ani wahania.

— Do księżnej X., — rzekła do stangreta.

Pospiesznie wsiadła, drzwiczki sama zatrzasnęła i powóz ruszył. Nie obejrzała się po za siebie, ani jednym spojrzaniem Lubrańców nie pożegnała, nie ją z nimi nie wiązało, pomimo, że oddalając się od nich zrywała z całą przeszłością. Powóz się jeszcze toczył krętą aleją parku, a jej się już zdawało, że Lubrańce i ich mieszkające utonęli w jakiejś mgłę oddalenia, że starli się z pamięci a ona urodziła się na innym świecie i zaczyna nowe życie.

Gdy wyjechali za Lubrańce rzekła do stangreta:

— Pojedziesz na stację a nie do księżnej X., — i lżej odetchnęła, jakby ostatni ciężar spadł jej z serca.

Jechała otwartym powozem, twarz jej wiatr owiewał, wśród szerokiego otwartego horyzontu i myśl się daleko rozbijała, pośpieszny ruch i tętent koni potęgował żądzę gwaru i biegu w dal nieskończoną.

Oddychała głęboko, wciągała z przyjemnością ostre jesienne powietrze, którego podmuchy zdawały się przynosić technienia wolności z jakiegoś szczęśliwego świata i nadzieję życia swobodnego, zależnego tylko od jej fantazji i kaprysu. Ach! Bieda coraz dalej i prędzej, uciekać od tego życia bezbarwnego i nudnego, od moralności i przymusu, od uczucia rozpaczliwego i tęsknoty! Prędzej i dalej!

— Jedź prędzej! — powtarzała stangretowi.

I konie biegu przyspieszyły, i oddech Jadwini też był coraz głębszy i gorączkowy; mknęły coraz prędzej szare niwy, zostawały przy nich smutek i melancholia, a ona oczy przymrużała, by ponury jesienny krajobraz nie zaciemnił barw świetlanych jej marzeń o szczęściu i szale życia!

Gdy dojechała do stacji pociąg już stał od kilku minut.

Nie dając stangretowi żadnego rozporządzenia wysiadła z powozu i skierowała się ku wagonom. Przypominała sobie, że ma niedużo pieniędzy, że trzeba oszczędzać, by na długo wystarczyły, wsiadła zatem do trzeciej klasy, ale była tak pomieszana, że jej na myśl nie przyszło kupić biletu.

Wagon, do którego wsiadła był ogólny, dla palących, pełny dymu ze złych papierosów i niemiłego gwaru ludzi nie lubiących się kępować. Na ziemi wały się resztki prowiantów spożywanych w drodze przez podróżnych, kości od kureząt, skorupy jaj, zatłuszczone papiery i okrucy.

Niemile ten widok wstrząsnął Jadwinia, ale poszła dalej i siadła na pierwszym z brzegu wolnym miejscu. Naprzeciwko niej siedziało dwóch żołnierzy, którzy na jej widok łokciami się trącili i widocznie dla nadania sobie kontenansu na wygodnej się ławce rozłożyli. Za chwilę wszedł jakiś żyd i zbliżywszy się do niej zaczął impertynentem tonem:

— Nu, co to jest? To jest moje miejsce, ja tu na to mój parasol położył, a pani się zasiada. Za co ja mam pani ustąpić? Ja za moje własne pieniądze mam prawo nie ustąpić.

Serce jej gwałtownie bić zaczęło, i pośpiesznie przesiadła się na inną ławkę. Dwaj żołnierze zaczęli się śmiać.

Na nowem miejscu znalazła się obok jakiegoś służącego w liberyi. Przyglądał jej się wyzywająco, obejrzała ją od stóp do głów, prawdopodobnie

przybierał pozę swego pana. Wzburzenie jej rosnęło z każdą sekundą.

Jakto? Ona? Hrabina Lubrańska? W podobnym otoczeniu? Bezsilna i słaba wobec podobnego pospólstwa? Czyżby dalsze kroki samodzielne, tak jak ten pierwszy prowadziły ją tylko na wstrętne i odpychające coraz to niższe szczeble społeczne? Uczuła jakieś zwątpienie i strach wobec nieznanej przyszłości, zdawało jej się, że już spadła nisko, bardzo nisko i połamała sobie skrzydła. że już jest temsamem czem ci wszyscy jej współpasażerowie, prochem marnym, zmieszany z tłumem i nieznanym przez nikogo.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 16 Grudnia.

Wrzawa jaką znów wywołała Sara Bernhardt tryumfalnym obchodem uroczystości, wydanej na cześć jej wielkiej artystycznej działalności, sprawdziła wielkie ożywienie w całym mieście. Jedne z dzienników piszą przeciwko takiemu jawnemu hołdownictwu aktorki, drugie rozzuchają do apoteozy jej zasługi. W każdym razie skutek jest taki, że wszyscy o tem mówią — a zdaje się, że o to głównie zawsze chodzi genialnej artystce.

Na pytanie jednego z dziennikarzy, co myśli o mogącym ją spotkać tryumfie, Sara Bernhardt odpowiada ze skromnością w liście ogłoszonym w Figaro, iż jedyną jej zasługą jest przyczynienie się do rozpowszechnienia w całym niemal świecie zamysłowania do literatury oraz do języka francuzkiego.

Biorąc rzeczy z tego punktu, na pewno jest to wielką zasługą Sary Bernhardt, iż swoim talentem rozszerzyła wpływ geniuszu francuzkiego, i to jedno powinno jej zostać policzonem.

Genialna Sara oprócz wielkiego talentu, posiada ów nieodzowny dla artystki urok pociągający tłumy, a umiejętnie prowadzona reklama dopomaga do wytworzenia w około jej osoby aureoli wielkości. Natura Sary szczególnie nadaje się do wytworzenia w około siebie burzliwej atmosfery, trzymającej w ciągłym naprężeniu uwagę publiczności. Trudno doprawdy określić, w jaki to sposób się odbywa; faktem jest tylko niezawodnym, że owa atmosfera istnieje i że wszyscy jej wpływowi ulegają. Od początku swej kariery artystycznej Sara trzymała i trzyma publiczność w ciągłym zaciekawieniu. Był czas, w którym wieści o Sarze Bernhardt zapewniały połowę szpalt w dziennikach. Jednego dnia donoszono, że usiłowała pozabawić się życia, — drugiego, że uciekła z Paryża, — dalej, że jej za długi sprzedano pałac i meble, — i wiele, bardzo wiele innych awantur, nie licząc opisów jej nadzwyczajnych tualet, oraz recenzji z jej działalności scenicznej. Niejednych zrażało takie narzucanie się ludziom, drugim się to podobało — więc miała ona zawsze stałych zwolenników. A kiedy po jakimś czasie przekonano się, że te wszystkie jej ekscentryczności były zawsze zaprawiane idealnem poczuciem artystycznego piękna — przebaczone jej. To pewna, że wielki jej talent, jak również wielkie jej zalety i błędy stworzyły z niej artystkę wyjątkowej organizacji. Sławna Rachel miała może potężniejszy od niej talent, nie posiadała jednak takiego uroku i wpływu, jak Sara Bernhardt.

Nie będę opisywał obchodu uroczystości, ani świetnego przyjęcia, jakie wydano w Grand-Hotelu, lecz wprowadzę czytelnika za sobą do mieszkania wielkiej tragiczki. Pałac Sary znajduje się w nowej części Paryża, tak zwanej „Pleine-Monceaux“, na bulwarze Pereire pod N. 56. Jestto dwupiętrowy wązki budynek z balkonem na dole i pierwszym piętrze, z olbrzymią oszkloną halą w głębi domu. Hala ta jest ulubionem miejscem artystki i w niej najwięcej przebywa: przyjmuje gości, studjuje rolę, wreszcie po wieczornej pracy na scenie odpoczywa na szerokiej sofie, zarzuconej licznymi wspaniałymi

poduszkami. Odpoczynek jej—to rozmowa z przyjaciółmi, lub odczytywanie nowej sztuki. Tak czynne życie dozwala artystce zaledwie około czwartej rano myśleć o spoczynku, o pokrzepieniu sił ożywczym snem.

Przy usposobieniu nawskroś nerwowem, niespokojnem, wrażliwem Sara sypia bardzo krótko. Niedgdyś, studiując angielski język, oznaczyła nauczycielce godziny między 2-ą a 3-ą rano, i faktycznie innej godziny wolnej nie posiadała. W zwykłym trybie życia wstaje Sara o 9-ej i do 11-ej studjuje rolę, dalej ubiera się i o 12-ej siada do śniadania; o 1-ej idzie do teatru na próbę, co trwa do trzeciej. Z próby wyjeżdża za interesami, sprawunkami lub wizytami. O siódmej obiaduje, o ósmej wieczorem gra, przebiera się, powraca do domu, zjada kolację i około drugiej w nocy dopiero należy do siebie lub przyjmuje gości.

O tej właśnie godzinie i ja przedstawiłem się w salonie artystki na kilka dni przed jubileuszową uroczystością. Sara tylko co powróciła z teatru. Przy świetle lamp, przy ciemnionych masą zieleni i kolorowych abażurów, olbrzymia halla sprawia wrażenie czarodziejskie. Podłoga wysłana grubym dywanem, na nim porozrzucone jeszcze tu i owdzie miękkie skóry białych i czarnych niedźwiedzi o potwornych łbach, uzbrojonych w olbrzymie kły—miękkie centkowane skóry tygrysy, lisy i t. p.

Dzieła sztuki zapełniają cały salon. Na razie trudno zorientować się w tym chaosie nagromadzonych cacek, porcelany, bronzów, rzeźb, obrazów i mebli.

W głębi ponad wysokim starożytnym kominkiem w stylu gotyckim, wspaniały portret pendzla Clairin'a przedstawia Sarę wyciągniętą na kanapie z ulubionym chartem u stóp.

Tu i owdzie widnieją na ścianach lub na stalugach wiele portretów przedstawiających Sarę w rozmaitych pozach lub rolach. A każdy portret odznacza się odmiennym wyrazem fizjonomii: idealna dobroć, szalona nienawiść, strach, radość—słowem wszystkie charaktery twarzy ludzkiej mają swoje uwiecznienie w znakomitych portretach jednej osoby, jednej ale niepospolitej artystki dramatycznej. I Sara dumna być może, że odnajduje siebie w tych areydziedach, które świadczyć będą potomności o jej niezwykłych tryumfach. Bo zazwyczaj gwiazdy sceniczne pory znajdują się w pamięci swoich krytyków i wielbicieli, póki żywe poruszają się na scenie; skoro z niej zejść w inne życie lub do grobu, pamięć o nich ginie—ani dymu, ani popiołu. Żądze wieczystej chwały aktor osiąga portretami, fotografiami wybitniejszych ról swoich; może w niedalekiej przyszłości da się jeszcze uwiecznić drganie jego głosu w postaci zygzaków na cynfolji fonografu.

W oczekiwaniu na artystkę oglądam marmury, rzeźbione jej ręką. Wszystkie noszą oznaki wyróżnienia, jakie otrzymały na wystawach lat ostatnich. Jest biust jej siostry Joanny, portret męża (aktora Damali) na łożu śmierci, a w głębi pod osłoną zaczęte ostatnie niedokończone dzieło, przedstawiające wnuczkę Sary. W chwili, kiedym się przyglądał właśnie temu dziełu, wielka tragiczka weszła do salonu. Ubrana była w długą jedwabną bluzę, przepasaną złotym i srebrnym paskiem. Zbliżała się, płynąc po miękkich futrach z miną królowej, ukazującej się poddanym.

Salon wkrótce zapełnił się gośćmi. Przybyło kilku znanych poetów, literatów, krytyków teatralnych, aktorów. Znalazł się także i krawiec z kostyumami, sekretarz, administrator, dama do towarzysstwa; wszyscy zarzucali artystkę pytaniami. Sara odpowiada, leżąc na sofie wśród powodzi poduszek. Za chwilę opuściłem jej salony, zamieniwszy zaledwie kilkanaście wyrazów z artystką. Wyszedłem pod wrażeniem, że Sara Bernhardt jest prawdziwą królową sztuki.

Nowości teatralne sypią się tu jak z rogu obfitości. Komedya francuska wystawiła dystygowaną, choć nieco patetyczną i sztuczną komedię, zatytułowaną „L'évasion.“ Autor p. Briex usiłuje w sztuce swojej wykazać chwiejność praw dziedziczności psychologicznej. Córka kobiety złego prowadzenia i syn hypochondryka—samobójcy, zgodnie z zaszczeponemimi im pojęciami o niezłomnych skutkach dziedziczności, nie powinni by stworzyć dobranej pary. Ona nie może być wierną żoną, jemu grozi obłąkanie, a potomstwo—kretyny lub kryminaliści. Pomimo to jednak, że jakiś lekarz fanatyk czy też szarlatan zasiał te obawy w duszach dwojga zakochanych i stara się je podtrzymywać zawzięcie, młodzi pobierają się, z postanowieniem wyłamać się z pod fatalnych praw, *uciec* przed ową niezłomną zmorą dziedziczności. Jednak chwiejność w zasadach naukowych samego kapłana nauki, który młodej parze zatrul życie niepewną jeszcze doktryną, otwiera oczy przeznaczonym na moralne kalectwo i przywraca równowagę.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Ministerium spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę towarzystwa wzajemnej pomocy na wypadek śmierci; siedzibą towarzystwa jest Petersburg.

— Liczne zjazdy lekarzy rosyjskich, odbyte z powodu stułetniej uroczystości wprowadzenia ochronnych szczepień przeciw ospie, wykazały konieczność dokładniejszych opisów nowonarodzonych. Część ludności Cesarstwa (starowierzy) ukrywa według wszelkiego prawdopodobieństwa, liczbę urodzin. Rezultatem tego jest, że liczba ślepych w Rosyi przewyższa znacznie liczbę dotkniętych tem kalectwem w państwach sąsiednich. Przyczyny ślepoty upatrują lekarze w ospie. Władze przedsięwzięć powinny jak najenergiczniejsze środki w celu zmuszenia ludności do poddawania się szczepieniom ochronnym.

— Ministerium finansów, niezależnie od pozwolenia na wypuszczenie na rynek wewnętrzny cukru z zapasu nietykalnego, zwróciło się do syndykatu cukrowniczego z zapytaniem o motywy podwyższenia ceny po nad normę maksymalną.

— Dowiadujemy się z pewnego źródła, że podniesioną została sprawa otwarcia w Warszawie jeszcze jednego gimnazjum filologicznego ośmioklaso-

wego. W razie przychylniej decyzji ministerium, gimnazjum zostanie otwarte z początku przyszłego roku szkolnego.

— Dowiadujemy się, że istniejąca przy zakładzie rękodzielniczym hr. Cecylii Plater-Zyberk dwuklasowa szkoła żeńska, otrzymała obecnie bardzo pożądaną reformę. Oto z upoważnienia ministerium oświaty, zakład ten został zamieniony na szkołę czteroklasową z dwiema klasami wstępnymi. Nauki, w tym zreformowanym zakładzie prowadzone będą podług programu szkół Maryjskich ze szczególniejszym uwzględnieniem języków: francuskiego i niemieckiego. Program robót ręcznych traktowany będzie w bardzo szerokim zakresie, a to w celu odpowiedniego przygotowania uczennic, któreby po skończeniu całkowitego kursu szkolnego, mogły wybrać sobie jakąkolwiek specjalność z wykładanych w zakładzie hr. Plater-Zyberk rękodzieł. Istnieje nadto zamiar utworzenia przy powyższej wzmiankowanej szkole od nowego roku szkolnego t. j. od Września, kursów handlowych dla kobiet według programu szkoły p. Ronthalera. Wtedy każda z uczennic, kończąca klasę czwartą w zakładzie szkolnym, jako już odpowiednio przygotowana w zakresie języków i matematyki, będzie miała możliwość wstąpienia bez uprzedniejszego egzaminu na pierwszy kurs handlowy, lub wedle powołania, wybrać sobie jeden ze specjalnych, przy tym zakładzie istniejących kursów, a mianowicie: pedagogicznego-freblowski, krawiecki, haftów białych, artystycznych, lub wreszcie kurs drobnych robót kobiecych, ukończenie którego daje kwalifikację na nauczycielkę robót. Zapisy do świeżo przyłączonych klas 3 i 4-ej przy zakładzie hr. Plater-Zyberk przyjmowane będą już od Nowego Roku.

— Peryodyczne analizy mleka sprzedawanego na targach i wymierzane kary na fałszerzy znacznie poprawiły gatunek mleczywa. Aby jednak cel właściwy został zupełnie osiągnięty, rozciągniętą została kontrola i na t. zw. „wzórów gospodarstwa mleczne“, rozsyłające nabiał do domów w zamkniętych i obanderolowanych naczyniach. Sprawdzono, iż niektóre „gospodarstwa“ w razie większego zapotrzebowania posiłkują się mlekiem lub śmietanką, branymi od pachciarzy lub włościan.

— Pierwsza wiedeńska powaga w zakresie leczenia dzieci, prof. d-r Monti, ogłasza o skuteczności surowicy co następuje: 1) Antytoksinę dyfteryyczną należy uważać za najlepszy środek leczniczy. 2) Przy febrycznej formie błonicy daje leczenie surowicą jedyne, świetne wyniki. Leczenie to ogranicza nadzwyczajnie potrzebę pomocy chirurgicznej przy chorobach krtani, a śmiertelność spada na 10%. 3) Przy formie mieszanej (phlegmonoes) wyniki bywają pomyślne przy wczesnem zastosowaniu i znacznych dawkach. Potrzebne są dalsze badania, żeby utrudnienia usunąć i osiągnąć równe wyniki, jak przy formie febrycznej. 4) Przy formie gangrenowej udaje się obecnie tylko w luźnych wypadkach przy wczesnem i obfitem użyciu.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się: ark. 3 powieści p. t. **Siostry**. Przełożyła Z. S.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

TREŚĆ: Przenajświętsza Rodzina (rysunek).—Kolenda, przez Szczęsną.—Pogawędka, przez ??—Gwiazda (Fantazya), przez J. Nitowskiego.—Betlehemska noc, przez Szczęsną.—Lubrańce, powieść, przez Znicza (dalszy ciąg).—Nowiny paryzkie, przez C. H.—**Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: **Siostry**, powieść. Przełożyła Z. S., arkusz 3.—Przegląd mód. 29 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.